Lwów, 23. Stycznia. №10. Rok 1855.

NOWINY

Wychodzą we *Wtorek*, *Czwartek* i *Sobotę*. We Lwowie prenumerata roczna 6 Złr. półr. 3 Złr. kwartal. 1 Złr. 30 kr. miesięczna 30 kr. m. k. W kraju z przesyłką pocztową rocznie 8 Złr.— półrocznie 4 Złr.—kwartalnie 2 Złr. m. k. Rycimy mód kwartal. 1 Złr.

Ogłoszenia wszelkiego rodzaju przyjmują się za opłatą od wiersza pismem petyt w przedziałce za jednorazowe umieszczenie po 3 kr., za następ. po 1½ kr. i za dopłatę 10 kr. stępl. za każdorazowe umieszczenie. Bióro expedycyi wksięgarni *H. W. Kallenbacha*

CZERCZA MOGIŁA.

Powieść przez

J. I. Kraszewskiego.

(Ciąg dalszy.)

Ku wieczorowi była chwilka że się zdawał mieć lepiej nieco raniony, ale gorączka go niemal zaraz opanowała i tyle jeno miał czasu że po księdza posławszy, kilku przyjaciołom ostatnią swą wolę podyktował, potem chwytając chwile przywołał do siebie pana Filipa Turzona, i z nim jeszcze z kwadrans trwał na cichej rozmowie. Ale co tam z sobą mówili, jednemu było Bogu wiadomo, to pewna tylko że blady jak chusta odszedł od łoża przyjaciela Turzon i padł na siedzenie ledwie żywy.

Żegnając się jeszcze z krewniakami i przyjaciółmi którzy łóżko jego oblegali, pan Stefan miał tyle sił że przerywanym głosem spisał im jak się to stało; nie wiele jednak i od niego dowiedzieć się było można.

— Stałem, powiedział, na przesmyku, kiedy mi głupia myśl przyszła posunąć się ku Czerczej mogile, bo mi się zdawało, że z tamtąd prędzej co na cel wezmę. I ledwiem się zatrzymał, plecami do krzaków, a twarzą do Czerczej, gdym po za sobą posłyszał szelest jakby rozsuwających się gałęzi. Chciałem się obejrzeć, ażali mi się zwierz jaki nie wymyka, ale nim podążyłem się obrócić, poczułem jakby mnie co przeszyło. Zachwiałem się i upadłem. Nikogom nie widział, i nie pojmuję z kąd się wziął postrzał, ale to pewna że nie strzelec żaden go wymierzył, bo tam żaden nie stał...

Ku północy coraz silniejsza gorączka opanowała ranionego myśliwca. Ksiądz nadjechał i ledwie *in articulo mortis* mógł mu dać absolucją, bo już od rzeczy plótł wcale i na krótko przytomność odzyskiwał; a o drugich kurach nadeszła ostatnia godzina. Różne pan Bóg na ludzie śmierci zsyła i daje im kończyć często na podziw lekko i bez boleści, ale niewiem żeby kto tak osobliwie konał jak Stefan Wilczura... Mózg miał zajęty i pierś rozbitą, gorączkę okrutną, krew ledwie zatamowana za najmniejszym się wysiłkiem znowu usty puszczała, ale zdaje się że on sam nie czuł cale co się z nim działo.

I owszem ostatnią godzinę wesołą miał jak życie całe, znać mu się ono na odjezdnem przypominało. A jak był zwykł przy ochocie spiewać wiersze swej własnej inwencyi bardzo udatne, tak i teraz prawie piosnką usta mu się zamknęły i ci co słuchali powiadają, że przedziwniejszych wierszy jak żyw żaden z nich nie czytał.

Zwracał je to do przyjacioł, to do żony dawno zmarłej, jakby ją miał przed oczyma, to do ukochanej córki, to do innych dawno pomarłych swoich rodzeństwa i najbliższych. Aż mrowie przechodziło po skórze gdy się począł do nich obracać, ręce ku nim wyciągać, rzekłbyś, że zmarli ci przyszli po jego duszę na drugi ją świat przeprowadzić.

I tak spiewając hejnał, złożony niegdyś na cześć matki boskiej Żyrmuńskiej, usta mu usługi odmówiły, wielki tylko krzyk wyrwał się z piersi:

— Jezus, Marja, Józef!

Wilczura Bogu ducha oddał.

Co tam było lamentu i desperacyj między przyjaciółmi, towarzyszami, krewnemi, ba i nieznajomemi, bo to był człowiek na podziw kochany od ludzi, tego opisać trudno. A jeszcze mu pierś nie zastygła i resztka krwi sączyć się z niej nie przestała, gdy Filip Turzon, który siły niemiał być świadkiem śmierci, nadbiegł do łoża i zaprzysiągł na zwłokach nieboszczyka, że bodajby miał do ostatniej stracić koszuli, dójdzie zabójcy i instygować będzie o przykładne ukaranie.

W tęż wszyscy tam bliżsi podnieśli ręce i zobowiązali się takąż samą przysięgą z płaczem, z jękiem i narzekakaniem, że ode dworu ich aż na wsi słychać było.

O tej śmierci zaraz najrozmaitsze były mniemania. Sąd zjechał wizją ciała zrobić przed pogrzebem, a resztę indagacyj odłożono aż by się ciału oddała ostatnia posługa. Prowadzono je do grobu familijnego do Mikitycz, o mil pięć od Serebrzyniec, gdzie Wilczurowie mieli kaplicę na smętarzu, w której się od lat dwóchset chowali, a ludzie najstarsi niepamiętali tak wspaniałego i przy takim konkursie szlachty odbytego pogrzebu. Okazano mu chociaż po śmierci, jako sobie serca wszystkich zaskarbił, szli wszyscy pieszo aż do miejsca, a pogoda też dziwnie sprzyjała obchodowi, bo prawie ani jedna świeca nie zgasła assystującym. A gdy ksiądz kanonik Pacyna począł żegnać imieniem nieboszczyka familią i druhów, taki się płacz wszczął w kościółku, że nie rychło mowy potrafił dokoń-

czyć; sam też się rozbeczawszy, choć był hartownej duszy człowiek i nie dziś z nieszczęściem znajomy.

Tamże stypa była w Mikityczach wspaniała na której raz jeszcze cały powiat się przysięgą związał, poszukiwania zbrodniarza wszelkiemi możliwemi środkami, ażeby był wynaleziony, i Filip Turzon wdziawszy żałobę dał uroczyste słowo, nie zrzucić jej póki winowajcy na szubienicę nie zaprowadzi. Taki był koniec nieszczęśliwego Stefana Wilczury, ulubieńca współobywateli, niespodzianie zniklego z pośrodka ich grona, ale nie na tem opowiadanie nasze zamkniemy.

Chociaż urzędową rozpoczęto indagacją, nie szpuszczając się na nią przyjaciele zabitego, a Turzon na ich czele, wzięli się do tajemnego śledzenia. Najsilniejsze podejrzenie padało na gajowego, któremu nieboszczyk plagi wyliczyć i woły obwiesić kazał. Natychmiast więc skierowano się ku niemu i polecono go przytrzymać. Z ubocznych jednak zeznań najwiarogodniejszych, ludzi co go widzieli dnia tego w miasteczku, okazało się, że w czasie polowania w domu nie był i chodził dla kupna soli z drugim chłopakiem i żoną na jarmarek. Swiadczyli i wieśniacy i żydzi i ekonom z Gruszej Góry, który z nim o jego przypadku rozmawiał. Nie mniej jednak wsadzono biednego Hryćka do więzienia, póki by się to nie wyjaśniło, a Turzon szukał dalej.

Jakiś instynkt wiódł go ciągle ku Krasnemu i przeczucie doń wołało, że z tamtąd strzał ów nieszczęśliwy wyszedł. Ale ten którego charakter i urazy najsilniej posądzać dozwalały o zbrodnię, Samuel Hawnul od dawnego czasu nie był w domu i nie rychło się go nawet spodziewano z powrotem.

Turzon który znał całą szlachtę okoliczną na palcach, i familją Żużlów, w pewnych widokach zbliżył się do ekonoma Kraśniańskiego, chociaż jak Paweł powiadał nie wydał się wcale ze swą myślą i pod pozorem jakiejś sukcesyjki, interesu, czy układu Żużla do siebie powołał i ująć się sobie starał. Z razu nic z nim nie mówił ani o Hawnulu ani o zabójstwie które na sercu jego leżało, ani o zaprzątującym go niepokoju, ale ułożywszy tak sprawę Żużlów, że bardzo często widywać się musiał z Pawłem, za serce tylko starał się go schwycić i zupełną ufność jego pozyskać. Szlachcicowi w głowie nie powstało żeby w tem cóś być miało więcej nad owe dwieście złotych, które mógł mu pan Turzon wyzyskać z czyjejś tam exdywizyi.

W kilka tygodni jednak, kiedy się Żużel obył ze swym protektorem, a ten go braterskiem obejściem i dobrocią całkiem skaptował, niby wypadkiem, po dwarazy powtórzonym kielichu starki, zgadało się coś o panu Samuelu Hawnulu, i Turzon nieznacznie badać zaczął o niego.

Żużel jak to zwykle szlachcic kiedy łapki przed kim położy, to z pod serca dobywa co tylko ma i tajemnicy nie robi z niczego, zaczepiony niewzględnie się wyspowiadał ze wszystkiego, życie, obyczaje, narowy, charakter, a nawet słowa, jakie kiedy słyszał od pryncypała powtarzając.

Turzon słuchał, poddawał, badał nieznacznie, wyciąga coraz dalej, a gdy przyszło do opisu ostatnich zajść a szczególniej wyjazdu Hawnula, bacznie nastawił ucho i wąsa kręcić począł. Musiał mu Paweł opowiedzieć z najdrobniejszemi szczegółami jak konie najmowao, jak z domu ruszył, wybrał się, i co mówił niemal siadając na brykę.

— A wiesz aspan co, zawołał wreszcie stary stukając pięścią o stół, to dalipan ciekawa historja ten twój Hawnul i jego żona, której nikt nie widzi. i jego życie zaparte, i te jego fantazje osobliwsze........ Diabeł go wie co o nim myśleć... ale mi to wszystko szelmą pachnie, uczciwi ludzi tak się z życiem niekryją... w tem coś jest.

Dopiero Żużel zmiarkował że się niepotrzebnie wygadał i języka sobie przykąsił, ale już było po czasie, jął nawet się zawracać tłumacząc jak mógł pana, co nie łatwo mu przyszło, bo Turzon wciąż powtarzał.

— Taki mi on śmierdzi! zobaczemy! zobaczemy, ale bodajby był tak czysty jak waść mówisz, ja w to nie wierzę, niedopierz tylko i sowy nocy szukają, ale z niemi całować się nie życzę, życie szlachcica choćbą na największym klarze ostoi się, a niepotrzebuje pomroki i umbry. Twój Hawnul zawsze mi podejrzany.

Żużel który pomimo popędliwego charakteru i częstych obrywek jakie od niego cierpiał, przywiązał się już był do Hawnula, bardzo się zasmucił że dał powód niestrożną mową do jakichś posądzeń, zamknął więc usta i nieodezwał się już o nim ni tak ni owak.

Tymczasem przed powrotem Hawnula do domu indagacja szła gorliwie, był zjazd w Krasnem i w Serebrzyńcach, badano ludzi, spisywano zeznania, uwięziono kilku, zabierano rusznice do których kulę przymierzano, ale do żadnej nie weszła jak była powinna i zabójcy ani tropu nie znaleziono.

Serebrzyńce jako majętność sieroty poszły w opiekę i administracyą, córka nieboszczyka pozostała w klasztorze pp. Wizytek w Wilnie, a gospodarstwo szło zwyczajnie jako na sierocem dosyć opieszale i licho.

Dopiero w trzy tygodnie po śmierci Wilczury Hawnul powracając z Wilna, zjawił się w miasteczku naprzód, a tu już nań czatowano, bo ledwie do Hersza Moczymordy na stancyą zajechał, Turzon zapukał do drzwi izdebki i stanął przed nim. Hawnul na widok niespodziewanych tych odwidzin człowieka, którego raczej za nieprzyjaciela niż przyjaznego sobie mógł uważać, trochę się zmieszał, pobladł, ale słowa nie rzekłszy czekał interpellacij.

Turzon ze swej strony niewiadomo co w tem mając, wszedł w milczeniu, stanął, oczy w niego wlepił okrutne i tylko szydersko głową potrząsł. Oba tak przez chwilę nic nie mówili do siebie, nareszcie blada twarz Hawnula poczęła się okrywać rumieńcem coraz żywszym, coraz o-

gnistszym, wargi mu się trząść zaczęły, ręce konwulsyjnie zadrgały i nim się zdołał pomiarkować, wydał się czy z gniewem czy z innem jakiemś uczuciem, poczynającem nim miotać.

— Co waszmość chcesz odemnie? zapytał przybyłego.

— Nic, mości dobrodzieju, nic, z flegmą odparł zażywając tabaki Turzon, chciałem tylko pierwszy go powitać. Ot i zapytać go jak się jeździło? Byłem właśnie u Hersza gdyś WPan zajechał.... Pan wiesz jakie tu nas spotkało nieszczęście?

To pytanie rzucając Turzon znów oczy badawcze wpoił w twarz Hawnula, a gdy ten mocno natarczywością i szyderstwem zmięszany, zawachał się i wpół słowo wymówiwszy uciął, począł bardzo głową kiwać.

— Wszak to pańskiego sąsiada Wilczurę a mego najlepszego przyjaciela zdradziecko i zbójecko ze świata zgładzono.

— Słyszałem już o tem... rzekł Hawnul niepewnym głosem.

— Gdzie! podchwycił Turzon.

— Na drodze, wieści się rozchodzą prędko, odparł odzyskując przytomność Hawnul — ale radbym wiedział, zkąd to badanie?

— Ja nie badam waszmości, kłaniając się odezwał Turzon, owszem przyniosłem mu zdaje mi się sam wiadomość, a nim pożegnam go, i te jeszcze dodać muszę że nas tu kilkudziesięciu poprzysięgliśmy odkryć zabójcę nieboszczyka..... (tu się Turzon namyślił) i kilku ludzi z Krasnego podejrzanych o kryminał wziąść musieliśmy do sądu.. Otóż powód mojej pośpiesznej u WPana bytności, wszak ci to o jego podanych idzie.

Hawnul nie rychło się zdobył na odpowiedź, niedowierzając znać temu co mu Turzon mówił, ale mu wróciła zwykła jego rezolutność i ambicya z jaką odpowiadał odpychając od siebie każdego, unikając wszelkich z ludźmi stosunków.

— Jeśli kto z moich poddanych winien, rzekł, ja go pewnie bronić ani i osłaniać nie będę.

— Ja się tylko koniecznością indagacyj przed WPanem dobrodziejem wymówić z czynności której byłem powodem, pragnąłem, inną wędkę wystawując zawołał Turzon spokojnie. — A zatem żegnam, przepraszając żem go inkomodował.

Turzon już miał odchodzić, gdy żyd furman wniósł do izby rzeczy Hawnula, a z niemi piękną gwintówkę. Podróżny postrzegłszy go, z niechęcią dał mu znak żeby tłumaki w kąt rzucił, ale nie uszła broń ta bacznego oka Turzona, który pochwycił strzelbę i pod pozorem zamiłowania w myślistwie bacznie ją począł oglądać.

— Śliczna strzelba! zawołał nieważając na zmarszczenie brwi Hawnula — śliczna broń i dobrze bić musi... A i kaliber niepospolity, dodał szybko palec wkładając w lufę niepostrzeżenie — zazdroszczę panu takiej kniejówki.

Na to ani słowa odpowiedzieć nie dał już przybyły tylko usta zaciąwszy stał, zdając się czekać rychło natręt sobie odejdzie.

Turzon zaraz też się wysunął, i ledwie drzwi za sobą zamknąwszy, westchnął jakby mu brzemię z piersi spadło; a choć stary poleciał nocą do Bruderkowskiego co tchu spiesząc.

U podsędyka było osób kilka, zabawiających się węgrzynem, ale przystojnie.— Poznali po minie że Turzon nie przyszedł z próżnemi rękami, ale ten spostrzegłszy zbyt liczne zgromadzenie przysiadł się do kielicha i nie rychło gdy się rozeszli obcy, zamknąwszy drzwi sypialni, odkrył się z czem przyszedł,

— Ot wiecie co, rzekł gorąco... albom wielce winien przed panem Bogiem moim, że niewinnego posądzam, albom odkrył zabójcę nieszczęśliwego Wilczury.

Wszyscy krzyknęli i skupili się do koła, a on tak mówić zaczął, z wielką flegmą myśli zebrawszy.

— Odrazu mnie piknęło że to nie chłopska sztuka..... i w uszach mi dzwoniło, że to ten przybłęda, Hawnul zrobić musiał.. Teraz już i trocha prawdopodobieństwa mam, a poczekawszy da Bóg, naniżę więcej dowodów.

— Aleć go w domu przecie i w okolicy nie było, zawołał Bruderkowski, o! la Boga! chyba przez plenipotenta strzelał... co się waści przyśniło.

— A to właśnie dowód,że go w domu nie było.... zawołał Turzon, tylko mnie proszę bacznie i cierpliwie posłuchać i sekretu dotrzymać... Trzeba tedy waszmościom wiedzieć, że kiedy mi w życiu myśl jakaś tak *insperate* do głowy zakołacze, co to niewiedzieć z kąd przyszła i z kogo się rodzi, mam to sobie za zesłanie boże, za natchnienie ducha świętego i łacno się jej nie rzucam. Toż i tutaj wziąłem się podejrzenia dla tego że na niczem nie oparte, trzymało mi się więcej serca niż głowy. Spauzowałem, przemyślałem i poszedłem na wywiady. Trzeba wiedzieć że Hawnula i djabeł nie zna u nas, Żyrmuński go tu zasadził, ale tyle o nim wie a może mniej co ja, i i odstąpić go musiał. Wiła może z nas wszystkich najgłębiej zajrzał, ale z niego i trybuszonem nie dobędziesz jak się zatnie. Cóż ja tedy robię. Jest tam Paweł Zużel ekonomem, biorę go na wódeczkę, gawędkę, i badam. Wyspowiadał mi się z całego żywota swego pana, ale tylem zeń skorzystał żem nabył przekonania iż człek i życie to nieczyste, bo się okrywa tajemnicą, co wiele do rozumienia daje. Nie chowa kto niema co kryć. Dowiedziałem się i tego że Hawnul wyjeżdzając z Krasnego licho wie dokąd, nie po ludzku sobie począł i tropy po za sobą zacierał... bez ludzi i bez koni, najętym furmanem gdzieś się wysmyknąwszy... Rozumny zając robi labirynty po rosie żeby go psy nie wytropiły, ale ogary go najdą,

byle miały cierpliwość pójść za jego kręcielstwą śladami. Przyszło mi być ogarem tutaj. Pojechałem do miasteczka, znalazłem i stancyą furmańską i woźnicę żyda, ale ten odwiózł go tylko do Słonima i tam porzucił go w jakiejś gospodzie. Posłałem i tam szukając języka, ale kawaler nie w ciemię bity, ze stancyi się na stancyą przenosił, i jak w wodę wpadł. Teraz pytam się was czy nie słusznie podejrzewam tego który się tak bacznie okrywa i tai z tem co robi? Jużem dalej nic schwytać nań nie mógł, aż do dnia dzisiejszego, tylkom go pilnować kazał na rogatce, żeby mi znać dali jak on jeno się pokaże i ledwie z bryki dziś wyskoczył, ja do niego.

Jak mi w oczy spojrzał, zmięszał się, i zajrzawszy dziś w duszę, przysiądz bym mógł że nie kto inny jest zabójcą Wilczury jeno on. I to dodam, żem schwycił u drzwi gwintówkę jego gdy ją na stancyą wnoszono, a palcem spróbowałem kalibru.. Chcecie waszmość pójść o zakład ze mną o oxeft węgrzyna, że jak się tylko dowie o tem że kulę mamy, strzelba ta zniknie?? (C. d.n.)

USTĘPY Z POEMATU „PODRÓŻ PRZERWANA".

I.

. . . . W konnej artyleryi,
Przy trzeciej harmacie, dziewiątej bateryi
Znałem porucznika; ze świata ubóstwa
On wyniósł i w duszy przechował dwa bóstwa.
Za młodu na Litwie, gdzieś w zaścianku leśnym
Pokochał on srodze pannę Małgorzatę,
I miał się już żenić. — U nóg przyszłej żony
Spoczywał tak słodko w letargu niebiesnym —
Aż przyszła ojczyzna strapiona po ratę
Krwi jego. — Więc powstał i poszedł w legiony.
A z bitew gdy wrócił, już miłej nie zastał,
W bezkwietne badyle grób dawny porastał
A krzyżyk nadpruchniał. Na świat się zachmurzył,
Ze strzelbą i z troską w puszczach się zanurzył,
Tam strzelał niedźwiedzie z rozpaczy — a tużył.

Nie długo mu ciemne smakowały lasy,
Bo młodość na jasnem, na marsowem polu
Przepędził; — z tęsknotą wspomniał na te czasy;
I w końcu zabrawszy z sobą resztę bolu
I z grobu garść ziemi i bukłak nalewki,
Ruszył do Warszawy. Tam wojskiem Konstanty
Na Saskim dziedzińcu wygrywal kuranty —
A więc się zaciągnął do tej pozytywki.

Warszawa, w światowe bogata ponęty,
Porwała wiarusa na śliskie swe stopnie,
I zaraz go żądze obsiadly natręty;
Choć oczy wbił w ziemię, by stąpać roztropnie,
Choć wsparł się pamięcią o bolesną stratę,
Potknął się i zachwiał, i wpadł w samołówkę, —
Bo znowu ukochał — a kogo? harmatę!
Na honor nie kłamię! — dwunastofuntówkę!.

I patrzcie! z chmurnego stanął się promienny!
Szczęśliwy! zaledwie zabłysnął świt dzienny,
Już biegł do harmaty, w koło ją obzierał,
I chuchał i dmuchał i plamy wycierał;
A potem błogości pełen i ochoty,
Czyhał na przechodnia. — Kogo tylko złapał,
Ten musiał podziwiać jej wdzięki i cnoty.
I zaraz lawetom dał nazwę sukienki,
Ustami zwał paszczę, czarnem oczkiem zapał,
A całą już ochrzcił swej zmarłej panienki
Imieniem. Jeżeli grzmi i ogniem zieje,
Porucznik powiadał, że ona się śmieje;
Przeciw Konstantemu zemstą się zapalił,
Bo nigdy na rewjach jej cnót nie pochwalił;
Toż w ową pamiętną noc przy arsenale
Jego ukochana pierwsza się zaśmiała.
Wielkie zachowanie miał u Jenerała
W następnej kampanii. — Strzelał doskonale;
Często sam Jenerał wskazał mu kolumnę
Do zbicia, z kolumny robiła się siatka;
On wtedy podnosząc czoło jasne, dumne,
Wołał: Jenerale! a co Małgorzatka!?

Podczas szturmu stolicy stał na szańcach wolskich,
Dwieście harmat w nie biło ze strony Moskala,
Na stolicę płynęła kul żelazna fala,
A traciła swój impet, tonąc w piersiach polskich.
Ach! tym piersiom posępne ciężyło przeczucie,
Jakby w nich brzmiały głosy złowieszczej Kassandry,
Nie zwycięstwa szukano, lecz śmierci i chwały, —
I pięknie lwy ginęły, — narody klaskały!
Porucznik ze swem działem na przedniej reducie
Wysunięty, podobien był do salamandry;
Co chwila mu ubywał towarzysz harmatni;
A w tem działa przycichły, bębny się ozwały,
I kiedy nieprzyjaciół zjeżone bagnety
Szturmowym biegły pędem na szańce — niestety!
Padł od ostatniej kuli kanonjer ostatni.
Sam został, — lecz w poległych ducha swego przelał,
Dziesięć rąk mu urosło, nabijał i strzelał,
I krwawe orał skiby każdą swoją kulą
Na moskiewskich mundurów płaszczyźnie zielonej.
Strasznym był! z twarzą czarną, z podartą koszulą
Z okiem groźnem, płomiennem, z spalonemi usty,
Z kawałem na zranionej głowie białej chusty,
Wiejącemi końcami na wiatr rozrzuconej;

Strasznym był! kiedy w dymu siarczanego chmurze
Żarzącym migał lontem, jak piorunną wstęgą,
Potem rzucał z wysoka, grady, gromy, burze;
Zdawał się sprzymierzony z piekielną potęgą
Jak zuchwały czarodziej, wzniosły opętaniec.....
Moskale z jawnem drzeniem darli się na szaniec,
Już blisko byli! — działa nie można już nabić,
Chyba jeszczyk zapalić albo siebie zabić
On nie myślał o sobie, — on duszą stroskaną
Był dla tej, którą kochał i którą się szczycił,
Ją tylko chciał ocalić, — młot i gwóźdź pochwycił,
Uderzył raz i drugi..... w tem go rozsiekano!....
. . . .

JEDNODNIÓWKI.

(Ciąg dalszy)

Pogodne słońce września oświeciło niziny Wielkopolski. Po obu brzegach niewielkiej rzeki ciągnęły się pola bez końca, ziemia czarna i żyzna, na lewym tylko nieco szara, bez żadnego porostu. Wszelako i tam, gdzie zdawała się gleba być urodzajna, widać było w uprawie jakieś zaniedbanie, jakiś nieład, jakoby się z pracą spieszono, lub ją wcale zaniedbano. Bo też spieszono się w istocie, aby gdzie można było zebrać, a często gęsto i rąk do pracy zabrakło. Po pięknej ziemi snuły się wojska swoje i nieswoje, a biedny rolnik załamał nieraz ręce widząc zniszczone swojej pracy nadzieje.

Na lewym brzegu rzeki stali dwaj mężowie, a kilkadziesiąt kroków za nimi, biwakowało na pięknej łące kilka grup jezdców.

Jeden z nich był wzrostu średniego, pochylonej postaci, w przetartym, szaraczkowym surducie, i miał na głowie kapelusz trójgraniasty, z pod którego wymykał się długi, okrągło spleciony harcap. Ruchy jego były żywe, a często nawet dziwaczne. Na czole zarysowały się liczne zmarszczki, i widać było, że za tą obsłoną wylęgało się wiele myśli, i że źródło ich było nieustanne. Miał on w ręku szkło, i często kierował przez nie wzrok na drugi brzeg rzeki.

Drugi był prawie równego z nim wzrostu, tylko twarz miał więcej okrągłą i włos bielszy. Postać tę, w ruchach jakoś nieudolną odziewał surdut granatowego koloru, z pod którego wyglądały duże, palone buty. W ręku trzymał ogromną tabakierkę, z której nieustannie jego towarzysz zażywał.

— Przyznam ci się — mówił pierwszy — że człowiek to dziwne źwierzę. Zdaje się, że ma jakiś rozum, i tem się szczyci, a przecież nie lepszy rozum jest od instynktu innych bezrozumnych zwierząt. Instynkt bowiem jest konsekwencyą, a nasz rozum, nasze zdania, to pożal się boże! Jak wiatr wioną i wracają znowu, a wróciwszy same siebie zabijają.

— I sam Wolter to przyznaje, a wasza królewska mość zgadza się we wszystkiem z Wolterem.

— Co też to człowiekowi roi się po głowie, gdy jest młody! A gdy się wyszumi to aż wstyd bierze, co się to nieraz nie napletło, a co gorzej — napisało!

— Alboż to Wolter nie jedno napisał, co się tak sobie sprzeciwia, jak rasa baranów hiszpańskich z kozłami angielskiemi. A przecież nikt nie powie, że Wolter nie ma rozumu.

— Słuchaj Brenkenhof; — napisałem w Anti-Machiawelu: „Wszelki dumny zamiar podbicia narodu obcego wbrew jego woli, lub wyzucia własnego z praw mu służących, jest największem głupstwem, nigdy bezkarnie nieuchodzącem *).“ Widzisz teraz, jaka konsekwencya jest każdej teoryi uczonych, do czego prowadzi bezwzględne rozumowanie!

— Fryderyk, król pruski, odpowiada przed historyą za czyny swoje, a nie za pisma. Z resztą, ileż to myśli bez celu i zastósowania napadają nas w latach młodości! Jak błahe i nikczemne są one w obec światła dojrzałego wieku!

— Mrzonki, mrzonki i nic więcej! Ty w młodości swojej byłeś bliższym rzeczywistości!

Minister spojrzał na króla, aby mu z twarzy wyczytać co za cel mogły mieć wyrzeczone doń słowa. Przeszłość bowiem jego niedawna mogła stać się powodem jakiego królewskiego dowcipu, którym tak chętnie strzelał król Fryderyk. Znajomość jego z królem datowała się od czasu wojny siedmioletniej, podczas której był liwerantem zboża, siana i wódki. Szczególne atoli miał upodobanie w karmieniu wieprzy, któremi nieszpetny prowadził handelek. Ale Fryderyk zanadto jakoś był roztargniony w tej chwili, aby swemu przyjacielowi chciał ubliżyć niezręcznym dowcipem. To też uspokoił się Brenkenhof, a zażywszy tabaki, począł dalej:

— Wasza królewska mość mówisz, że człowiek może się w czynach sprzeciwiać, ale ja wcale tego tu nie widzę. Arondujemy wprawdzie nasze państwo krajem obcym, ale nie czynimy tego przemocą ani podbojem. Mieszkańce proszą mnie na kolanach, aby ich wziąć w okrąg państwa waszej królewskiej mości.

— Sądzisz?

— Dopiero wczoraj było u mnie kilku właścicieli, i zaklinało mnie, abym ich dobra wciągnął w nasze terytoryum.

— Czy są nam tak przychylni?

— Trzeba znać polaków, mości królu. Jest to naród szlachetny, odważny, i kocha swój kraj aż do fanatyzmu. Lecz jak rumak spłoszony, który w swym pędzie zdaje się

---

*) Dohms Denkwürdigkeiten tom IV. str. 78. (pisma Fryderyka wielkiego).

że przeskoczy skały i przepaście, nagle przed uschłym liściem się zatrzyma, i z tym samym ogniem, w przeciwną zwróci się stronę, tak samo i Polak, znękany tyloletniem niepowodzeniem, szuka jakiej takiej dla siebie przystani. Do tego bezrząd w kraju dał się już mieszkańcom we znaki. Wojska obce, wojska narodowe, konfederackie, niszczą kraj i pustoszą, a tu trudno o patryotyzm, gdy koszulę zdzierają. Pod maską konfederatów snują się bandy złoczyńców po dworach, łupią i kradną, a to wszystko idzie na karb reakcyi narodowej. Kogóż więc zadziwi, że ludzie chcą spokoju, i że do tego się udają, kto im go użyczyć może.

— Trzeba im dla tego okazać, że jesteśmy godni ich zaufania.

Gdy tak król i minister nad brzegiem Noteci z sobą rozmawiali, zbliżyło się do nich kilka powozów i jeźdźców konnych. W oddaleniu wysiadło kilku mężczyzn ubranych po polsku i przystąpiło do króla.

— Chciej królu od nas przyjąć hołd naszej admiracyi, przemówił jeden, z pokorną prośbą, abyśmy pod opieką twych najsprawiedliwszych rządów zostawać mogli. Pozwól złożyć u stóp twoich przysięgę poddańtwa od tych, których antenatom przodkowie twoi, królu, hołdy składali.

Zmarszczył brwi Fryderyk, gdy mu tę harangę wytłumaczono, mówiącego jednak spiesznie o imię zapytał.

— Jestem Junosza, byłem niegdyś członkiem konfederacyi toruńskiej, która szczyciła się opieką waszej królewskiej mości.

— Aha, odparł król śmiejac się, ta sama, co to kolumnę Matki Boskiej w Toruniu rozwaliła?... Ja u siebie nie zezwalam na taki wandalizm. Władze moje przestrzegają porządku i spokoju... A gdzież wasze majątki leżą?

— Po drugiej stronie Noteci.

— Brenkenhof, rzekł król do ministra — to być nie może, abyśmy dobra tych panów pod naszą opiekę wnieśli. Wszak tylko po rzekę Noteć nam się należy.

— Miłościwy król raczy zważyć, odparł minister, że w traktacie wyrażono: „po wody Noteci,“ a nie po koryto rzeki. A znaną jest w okolicy rzeczą, że wody Noteci, przy peryodyczych wezbraniach kilka mil po prawej stronie nizinę kraju zalewają. Więc weźmiemy jaki rok wylewu za normę, zrobimy protokół z mieszkańcami, i skonstatujemy, dokąd to wody Noteci sięgają!

— Wybornie, Brenkenhof, — zawołał król, któremu więcej podobał się dowcip ministra, niżeli nowa akwizycya. Ale cóż będziemy z tem bagnem robić, dodał po chwili.

— Wykopiemy kanał i połączymy dwie rzeki — odpowiedział Brenkenhof.

—Wykopać! a zkąd drzewo? Zechciej się zapytać tych panów, czy tu w okolicy nie dostanie drzewa, czy nie wiedzą do tego jakiego sposobu?.

Minister umiejąc język szląski, objawił przybyłej deputacyi zamysł króla.

— Co to za dobry król, będzie nam błota osuszał, szeptała między sobą deputacya — nie ma to jak kultura niemiecka! Gospodarstwo, przemysł, handel się podniosą!

— O drzewo zapytuje się jegomość pan Landrat — odezwał się Junosza — ot jest drzewo.

I wskazał na rzekę.

W rzeczy samej wody rzeki okryły się w tej chwili nieprzejrzanym łańcuchem tratew, a samsonowej postaci Kujawiak, wybijając w takt drgawką, przyhukiwał rozkosznie ku płaskim brzegom rzeki.

— Cóż to za drzewo?.. zapytał król.

— To drzewo, najmiłościwszy królu — odrzekł Junosza — pochodzi ze starostw i z dóbr koronnych, z których tymczasowi posiadacze chcą jeszcze korzystać.

— Każ ministrze — żwawo zawołał król — położyć areszt na to drzewo, — będzie materyał na kanał! A temu panu, co tak wybornie radzić umie, oświadcz nasze wielkie zadowolenie i naszą łaskę królewską!

— Oświadcz szanowny ministrze wielkiego króla — rzekł Junosza, dowiedziawszy się o tym splendorze, — że najuniżeńszy jego sługa i poddany, poczytuje sobie ten fawor łaski królewskiej za wielkie szczęście. W nieprzebranem atoli bogactwie względów swoich, niech raczy jego królewska mość wspomnąć sobie wiernego swego sługę, ilekroć z rogu obfitości rozleją się łaski na wiernych jego poddanych!

— Zapiszesz mi to imię — rzekł król do ministra, wyrozumiawszy harangę Junoszy — trzeba je będzie czem ozdobić.

Usłyszawszy taki fawor z ust królewskich, chciał się Junosza nisko pokłonić, czemu wszakże przeszkodziła długa, niżej pasa zawieszona szablica.

Postrzegłszy to król, roześmiał się z ironią, a zwracając uwagę swoją na rękojeść bogatej szabli, rzekł do ministra:

— Piękna szabla, zapewne spadek po antenatach, ale do dzisiejszych okoliczności nie stósowua. Jest ona za długą do dzisiejszych postaci — mianowicie gdy się hołdu uie odbiera, tylko się go składa.

Objechawszy województwa Malborskie, Chełmińskie i Pomorskie, wrócił król do stolicy, a rozmawiając z ulubionym swoim ministrem o ziemiach nabytych, rzekł do niego:

— Wiesz co, Brenkenhof, inaczej myślałem o mieszkańcach tego kraju. Zdawało mi się, że hołd będzie więcej biernym, będzie uczuciem pewnej rezygnacyi, z jaką rozbrojony przeciwnik oddaje broń swoją zwycięzcy. Mnie tymczasem powitał zapał, i zdawało mi się, że odbywam tryumf. Gdy zarzucono Wolterowi, że wbrew swym dawnym zdaniom, Rossyi schlebia, odpowiedział: Jestem zimolągiem a z Rossyi przysełają mi wyborne futra. Ja

bym zaś nazwał Polaków efemerydami. Mają oni wielkie cnoty, i zapał szlachetny, dzieje ich są pełne scen podniosłych i prawdziwie wielkich, idea ojczyzny przechodzi często u nich w fanatyzm islamizmu, ale brak im owej wytrwałości i zasady, z jaką w chwilach natchnienia pochwycona myśl przeprowadza się aż do ostatecznej swojej konsekwencyi. Muszę przyznać słuszność biskupowi Krasickiemu, który mnie upewnił, że dobrze przyjętym będę. Napiszę i do Woltera, z jakim zapałem witano mnie wszędzie.

I zadumał się król-filozof nad nieudolnością naszego charakteru, sądząc z tego co widział, a nie wiedząc o tem czego nie widział, podczas gdy minister jego przemyśliwał nad środkami najlepszego utuczenia wołów paszą niziny wielkopolskiej.

(C. d. n.)

Rozmaitość.

* **Z Tarnowskiego.** *Przegląd ogólny gospodarstw w r. 1854* (ciąg dal.) Mimowolnie przychodzi na myśl, że w jesieni zgromadzeni na obrady Towarzystwa gospodarskiego w Krakowie, gdyby niepozostając w rezerwie, podany projekt względem przymusowej robocizny za pieniądze, przez dokładną dyskusyą byli przepuścili, spotkaliby się pewnie w ciągu rozpraw z tem żywotnem, ekonomicznem zadaniem, aby raz skutecznie służącym i ich chlebodawcom zakreślić granice: iżby wzajemną pewność pracy i wynagrodzenia obopólnie otrzymali. Może przecie byliby obmyślili, aby chociaż niewielką rocznie składaną kwotą przez obydwie strony wspólnie na korzyść służącego do kassy oszczędności, zapewnić mu przyszłość i interes pracy; a tym sposobem mieliby panowie rękojmią każdego sługi, gdyby książeczkę kassy oszczędności w raz z świadectwami przez ciąg jego obowiązków u siebie zachowali, służącym zaś aby niebyła póty wkładana do kassy składka wydawaną, aż udowodnią świadectwami urzędowemi, że nie są zdolni do służby, lub że inny godziwy sposób handlu przedsiebiorą.

Czyliż możemy wątpić, aby wysokie rządy od sankcyi tyle moralnych następstw wróżącego ustalenia międzystosunków naszych uchyliły się? Stawiajmy dzisiaj fundamenta, dokładajmy następnie cegiełki, a zostawimy następcom gmachy, których lada wstrząśnienie i burze nieobalą.

Nieprzesądzam, czyli podniesiona myśl przymusowego najmu była na czasie? Każdy z nas, i wszyscy zgromadzeni, przez tyle zmian w kilku ostatnich latach, starzy doświadczeniem, byle *sine ira et studio*, łatwo to rozwiążemy. Ale nad kwestyą tyle żywotną, jeszcze w obec c. k. reprezentanta nieobradować, i niewyrzec publicznie stanowczego zdania, z samego obowiązku obywatela kraju niegodziło się!

Wszak wysokie rządy miały sposobność nas poznać, kiedy, gdy nam dozwolono było stanąć po stronie własnego przekonania lub cudzego widzimisię, na te falangi rozdzieliliśmy się. A kiedy to wszystko w niepamięć puszczono, i zaufanie nam powrócono, kiedy żałoby i potrzeby nasze przez towarzystwa gospodarskie i pisma publiczne do wysokich rządów wnosić możemy, dla czegóż dla wspólnego i naszego dobra wahamy się temu zadosyć uczynić?

Natrącono tam prawda o czeladzi niedotrzymującej umowy w służbie, i to lekko na ich demoralizacyą policzono. Ale gdzież przyczyna tak szybkiej demoralizacyi? Wszak aby skutecznie złemu zaradzić, przyczynę usunąć należy; temu zadosyć niestało się.

Przypomnijmy sobie, że przed pietnastu laty, kiedy panowie prawie patryarchalnie zarządzali czeladzią, był ład, było dotrzymanie służby, była przecie i moralność, z kądże tak nagła odmiana? Oto czeladź miała interes pracy, czeladnik każdy był w nadziei zostania kmieciem, zagrodnikiem, albo choć i chałupnikiem; był pewny że zostanie ojcem familii, i ta przez jego zasługi u dworu położone, na każdy przypadek protegowaną będzie. Wszakże posłużywszy kilka lat, przy taniości odzieży, oszczędził kilkadziesiąt ryńskich i przyszedł do bydlęcia i do domu własnego. Dzisiaj zaś potrafiż służący oszczędzić kilkadziesiąt ryńskich? Nie, a i za te ani domu, ani bydlęcia, ani wesela niesprawi. Dwór już nie ma gruntu rustykalnego aby mu udzielił, a swojego nie może, gdyż wie żeby go nigdy nie odebrał. Jakąż więc ma nadzieję gdy zaniemoże, gdy pracować nie będzie w stanie? Oto kij do ręki i torba dziadowska na plecy; a służąca, że musi ślubować panieństwo i pod kościołem w szpitalu (aby ją tylko przyjęto) dni swoje znoju i pracy zakończyć. Rozdzielenie albowiem klass włościańskich na właścicieli gruntowych i biedaków bez dachu, tę zmianę sprawiło.

A tu wołają po rozprawach ekonomicznych w tygodniku gospodarskim krakowskim „Niechcemy proletarjatu" Przyjąć go, albo nie, jest po za granicą możności naszych.

„Wstrząśnienia i odmiany polityczno-socyalne" powiada *Montesquieu* „sprawiają okoliczności nie ludzie". Czas więc i okoliczności jakby koniecznością popchnięte przyniosły nam proletarjat, jakiego praojcowie nasi nieznali, i wyrażenia tego w mowie ojczystej nam niezostawili. Przyjmijmy go do społeczeństwa, i wszystkich możliwych środków użyjmy abyśmy go moralnie podnieśli. Zróbmy niejako operacyą, coby złagodziła symptoma tego raka, prowincyą naszą toczyć poczynającego, osłabiajmy jego dżumą grożącą zarazę, i starajmy się, aby dla proletaryatu przyszłość zapewniona, była bodźcem do jego mozolnej pracy; a tem dokażemy, że nie porzuci lekkomyślnie miejsc rodzinnych, kości ojców jego przechowujących, i błąkać się nie będzie po kraju, zepsucie moralne propagując. D. n.

* **Z Wiednia.** Grasują tu teraz bardzo koncerta, mimo już rozpoczętego karnawału. Z pomiędzy wielu innych odznaczył się koncert naszej rodaczki panny *Jadwigi Brzowskiej*. Artystka ta zewszech miar zasłużyła sobie na względy publiczności których jej też w surowym Wiedniu nie odmówiono.

Pierwszy jej koncert odbył się dnia 13. stycznia w sali towarzystwa muzycznego przy nader licznem zgromadzeniu. Najpierw odegrała pierwsze Allegro z Septetu Humla. Nadzwyczajna biegłość prawdziwie delikatne uczucie polki i wydobycie czarodziejskich tonów cechowały tę jej grę; potem odegrała transkrypcyą z opery *Torneo* Lorda Westmoreland i cudowną Balladę Chopina, oba te kawałki prawdziwie po mistrzowsku były wykonane. Nastąpił duet Roberta Schumana na dwa fortepiany w towarzystwie naszego rodaka fortepianisty p. Antoniego Herzberga, którego kompozycye zaszczytnie są znane w świecie muzykalnym. Na zakończenie odegrany został przez koncertantkę Walec Antoniego Kątskiego, który publiczność z zapałem przyjęła. To też koncertantka zawdzięczając liczne oklaski odegrała jeszcze Mazur Chopina w B dur. Pan Antoni Herzberg, tudzież mały skrzypek Wiktor Raczek byli prawdziwą ozdobą tego koncertu

Żałować tylko należy iż Wiedeń nie posiada odpowiedniej sali koncertowej. Siedzenia godne politowania, prócz tego ciemne schody, nieznośny upał w sali. Dziwić się należy iż publiczność podaje się tym torturom. Najwięcej jest teraz odwiedzanym Koncert (komedya R. Benedyxa) w Burgu, jestto krytyka na dyletantów prowincyonalnych. Pewien młodzieniec pragnie urządzić koncert w małym miasteczku. Lecz jakżeż zebrać Orkiestrę? Znajdują się w tem miasteczku dwa nieprzyjazne towarzystwa muzyczne. Wszystko udaje się temu przedsiębiorcy koncertu, w końcu gdy już wszystko jest w porządku, powstaje na próbie rozdwojenie, wszystko poszło w niwecz,

Śmieszności dyletantyzmu są dobrze przedstawione, mnóstwo komicznych sytuacyi przedstawia się widzowi, jednak wykonane przez dobrych artystów w Burgu. Gdyż poprzednio jeszcze przedstawiano tę sztukę na teatrze amatorskim barona Pasqualatti, jednak się nie powiodła. Piękne to jest współzawodnictwo! P. baron urządził u siebie teatr obejmujący 300 osób, elegancka sala, dobrana orkiestra, piękne oświecenie, gromadzi co Sobota mnóstwo dobranej publiczności. Każdego zadziwi ogromny wydatek jaki pociąga za sobą utrzymanie podobnego teatru; głównym tego powodem jest pani baronowa, była aktorka, która nad wszystkie przyjemności przekłada teatr, gromadzą się więc tamże dyletanci, kształcą swój talent i wychodzą na dobrych artystów; jestto niejako szkoła dramatyczna dla gości zaś przyjemna zabawa.

* Gruba żałoba dworska po zmarłej wdowie królowej sardyńskiej trwać będzie po 25. stycznia, poczem przez dni 10 nastąpi żałoba mniejsza. Po doniesieniu o śmierci królowej wdowej sardyńskiej przez pomyłkę drukarską opuszczono w poprzednim numerze: T e r a z n i e j s z a zaś królowa A d e l a j d a p o w i ł a s y n a, poczem następowało: K r ó l o w a A d e l a j d a j e s t c ó r k ą ś. p. a r c y k s i ę c i a R a j n e r a.

Przyjechali od dnia 19. do 22. Stycznia do Lwowa.

PP. Trzeiński Emilian, z Brodów. Mierzyński Rafał, z Barylowa. Komarnicki Jan, z Magierowa. Leszczyński Jan, z Luczan. Bąkowski Jan hr., ze Stryja. Miączyński Jan, z Suchodołów. Morawski Jan, z Tarnopola. Augustynowicz Bolesław, z Kniaża.

PP. Micewski Edward, z Tuczemp. Szawłowski Ludwik, z Przewłoki. Jaruntowski Jan, z Hermanowic. Puzyna Roman, z Gwoździca. Schubert Albert, z Maros Vazarhelly. Rulikowski Jan, z Uhrynowa.

PP. Pohorecki Kajetan, z Horpina. Doliniański Seweryn hr., z Dolinian. Duniewicz Edward, z Nowoszyc. Komorowski Ignacy hr., z Chorobrowa. Lanckoroński Teodor hr., z Poddubiec. Lanckoroński Stanisław hr., z Cieszanowa. Wiktor Tadeusz, z Makowisk.

Wyjechali dnia 19. do 22. Stycznia ze Lwowa:

PP. Sabatowski Fryderyk, do Drohobycza. Piłatowski Marcel, do Bóbrki. Gnoiński Alexander, do Krasnego. Pohorecki Roman, do Przemiwółki. Bogdanowicz Maxymilian, do Przemiwółki. Torosiewicz Maurycy, do Ostrowa.

PP. Jaworski Józef, do Kobelnicy. Zagadziński Konstantyn, do Ulicka. Kielanowski Tytus, do Żelechowa. Sroczyński Karol, do Brusna. Smarzewski Seweryn, do Remenowa.

PP. Rodkiewicz Józef, do Krzywego. Strzelecki Krzysztof, do, Płuhowa. Bykowski Stanisław, do Żółkwi. Dzieduszycki Kazimierz. hr. do Niesłuchowa.

Kurs telegrafowany z Wiednia 19 b. m. o g. 2. po połud

Augsburg za 100 złr. .	$127\frac{1}{4}$	Pożyczka 5% $83\frac{11}{16}$ 4½	$72\frac{1}{4}$
Hamburg za 100 tal. banco	$93\frac{7}{8}$	Akcye banku	1024
Londyn za 1 funt szterl.,	12 18	Kolej północna	1975
Medyolan za 300 lirów	—	Obl. ind.	75
Paryż za 300 franków .	$148\frac{1}{8}$	Nowa pożyczka z loterya	$101\frac{3}{4}$
Agio duk. ces.	$31\frac{3}{4}$	Pożyczka narodowa . .	87

Wczorajszy Kurs Lwowski Gotówką towarem.

	Gotówką		towarem	
Dukat holenderski	zł. 5	kr. 55	zł. 5	kr. 56
Dukat cesarski	« 5	» 56	» 5	« 58
Półimperyał zł. rosyjski	« 10	« 12	» 10	« 14
Rubel srebrny rosyjski	» 1	« 58	« 1	» 59
Talar pruski	» 1	« 54	» 1	« 56
Polski kurant i pięciozłotówka	» 1	« 25	» 1	« 26
Galicyjskie listy zastawne za 100 złr. bez kuponu	» 90	« 54	» 91	« 20
Obligacye. indemnizacyjne z kuponami	75	» 20	» 75	» 40

Lwów 19. Stycznia. Na dzisiejszym targu płacono korzec pszenicy ozimej po 32 złr. 30 kr. do 35 złr. — kr. — Żyta po 27 złr. 39 kr. do 31 złr. 15 kr. Jęczmienia po — złr. — kr. do — złr. — kr. Owsa po 18 złr. 20 kr. do 19 złr. — kr. Grochu po 34 złr. — kr. do — złr. — kr. Hreczki po 22 złr. 30 kr. do — złr. — kr.— Ziemniaków po — złr. —do — złr. — kr. Sąg drzewa bukowego 36 złr. 15 kr. do 40 złr. Sosnowego po — złr. — kr. do — złr. — kr. w.w. Cetnar siana 5 złr. 18 kr. do 5 złr. 55 kr. Centnar słomy 2 złr. 55 kr. do 3 złr. — kr. w.w. Garniec 30 stopniowej okowity bez opłaty 4 Złr. 15 kr. do 4 złr. 22 kr. w. w.

Do dzisiejszego Numeru dołączone jest uwiadomienie księgarni J. Milikowskiego.

Wydawca i odpowiedzialny za redakcyą: **H. W. Kallenbach.** Z drukarni **E. Winiarza.**